

38 teatrrozmowa

Temperatura
wrzenia

KAMILLA BAAR, absolwentka krakowskiej PWST, wróciła pod Wawel. W Teatrze STU gra Julię pod okiem Agaty Dudy-Gracz, która proponuje całkowicie autorską wersję szekspirowskiej tragedii

„Romeo i Julia” prowokuje do lirycznych fantazji.

Kamilla Baar: Jestem na takim etapie życia, że miłość Julii i Romea budzi we mnie sporo tęsknot i pragnień. Ale Szekspir według Agaty Dudy-Gracz nie będzie egzaltowanym wypracowaniem na temat miłości. To inna propozycja. Kiedy reżyserka zaproponowała mi tę rolę, byłam bardzo szczęśliwa: zawsze marzyłam, żeby zostać Julią. Za radością szło jednak pytanie – kim jest Julia? Po lekturze adaptacji Agaty dostałam jednak wiatru w żagle – zobaczyłam jej Weronę. To było jak uderzenie, „pulp fiction”. W naszej Weronie żyje się tak, jak się czuje. Intensywnie, namiętnie, bardzo mocno. Jak-by jutro nie było.

Tatr Agaty Dudy-Gracz bywa oskarżany o chłód, konceptualną przesadę.

Jej świat jest mocno kreatywny. W metodzie Agaty sposobem na wyrażenie emocji jest szukanie dla nich formy. Postaci i relacje nie mają linearnych przebiegów, typowej dramaturgii, ale są konstruowane niczym soczewki skupiające maksimum treści.

Ale co oznacza maksimum treści, emocji?

Maksimum emocji oznacza, że temperatura odczuwania roli w danej chwili nie może mieć mniej niż 100 stopni, czyli że aktorzy utrzymać się przez dwie i pół godziny trwania spektaklu w temperaturze ciągłego wrzenia. I tylko taki stan ożywia ich postaci. Bohaterowie Dudy-Gracz są niczym

ludzkie ekstrakty. Niosą ze sobą bardzo jasne, niemalże analityczny rysunek. Przy pracy nad „Romeo i Julią” często pojawiało się nazwisko fotografa Davida LaChapelle’a. Korzystaliśmy z energii współczesnego świata, którą niesie jego bezlitośnie patrzące oko.

„Romeo i Julia” Dudy-Gracz opowiada, „co byłoby, gdyby”. Co by się stało, gdyby ciąg dalszy tej historii nastąpił.

Bohaterem tego przedstawienia będzie miłość. To słowa Agaty. Jej pytanie – co dzieje się z miłością, tą idealną, od pierwszego wejrzenia, jeśli kochankowie nie umierają, tylko żyją – dopóki śmierć ich nie rozłączy. I stąd w spektaklu trzy Julie. Pierwsza swą miłość przeżywa zgodnie z dramatem Szekspira, kolejna Julia – żona i matka, wreszcie ostatnia Julia, umierająca na oddziale paliatywnym, powracająca resztką sił w sercu do swojego jedyne Romea, przygotowująca się na spotkanie z nim po śmierci. Nasze przedstawienie jest próbą podróży po tej emocjonalnej mapie. Szukamy, co się z miłością dzieje po kilkunastu latach, albo wtedy, gdy Romeo jest już po drugiej stronie, a siwa Eurydyka na zawsze traci Orfeusza. Kobiety w tym spektaklu bardzo słono płacą za dar kochania. Ostatnia Julia wydaje się najbardziej spełniona, bo chwilę przed odejściem jej Romeo jest idealnym, za którym tęskni i którego w pełni pragnie – wbrew logice wspomnień. Jej umieranie przekształca Romea w mężczyznę idealnego.

Najstarszą Julię gra Anna Polony.

Najstarszą, ale kolejną i pierwszą. Ona uruchamia nasze istnienie. Pracując nad przedstawieniem, czuję, jakby Anna Polony była moją rówieśniczką, a może nawet kimś młodszym niż ja. Czasami na próbach mam wrażenie, że jest dziewczyną biegającą z chłopakami po drzewach. Zadziorną, wiedzącą czego chce, z szelmowskim zacięciem rządzącą bandami na podwórku. Żadnych kompromisów.

Na temat trudnego charakteru Polony krążą legendy.

Anna Polony egzaminowała mnie, kiedy zdałam do krakowskiej PWST. Poczułam jej legendarny surowy autorytet. Przed spotkaniem z Agatą nie pracowałam zbyt często w teatrze metodą improwizacji, a ona właśnie tak szuka języka scen. Nie ma słów, tylko jest się czuciem wyrażanym w ruchu, w dźwięku. W trakcie jednej z prób, kiedy improwizowaliśmy kolejną godzinę z Romeem, nagle zrobiło mi się słabo: przez emocje i wysiłek. Padłam do łóżka i nie mogłam się z niego zwlec. Wtedy Anna Polony podeszła do mnie i powiedziała, że załatwi mi kroplówkę, po czym dodała: „Słuchaj, ja nie jestem taka straszna jak w telewizji. Ja jestem fajna”. Poczułam się jak w domu. Tak, Anna Polony jest bardzo, bardzo fajna. Jedyna. Jest naszym Pukiem.

Wcześniej, w roli Klary w „Ślubach panieńskich” Fredry zagrałaś niemal feministkę. Ciągnie cię do burzenia konwenansów?

Uważam, że przedstawienie Jana Englerta było utrzymane absolutnie w duchu Fredry.

Klara? W gumiakach?

Kiedy usłyszałam, że „Śluby” będą rozgrywały się na wsi, szukałam Klary w okolicznościach założonych. Wiedziałam, że to będzie wieś: krowie placki, bociany, kiszenie ogórków itd. Pobiełam do scenografki, Basi Hanińskiej, i zapytałam, czy Klara może nosić gumaki. Usłyszałam, że pomysł jest fantastyczny. A potem okazało się, że Klara gumiakami zszokowała otoczenie. Z jednej strony byłam dumna (ze względu na copyright), z drugiej na pewno nie chciałam być kontrowersyjna i ekstrawagancka. Strój był konsekwencją myślenia o bohaterce.

Za tobą niezwykle pracowity sezon.

Fascynująca Panope w „Fedrze” Kleczewskiej, fredrowska Klara. Jeszcze Marta we współczesnym „Mroku” oraz rozbijająca Nędza w „Opowiadaniach dla dzieci” Singera.

Różne role, różne światy. Singer to była czytała przyjemność: podroże w świat dziecka i dziecięcej wyobraźni.

A jakie było spotkanie z Kleczewską?

Było przełomem w moim myśleniu. Najistotniejsze jest to, że interesuje ją kondycja człowieka: relacje, emocje, najgłębiej skrywana prawda. Lubię w teatrze Mai totalność: spójność słowa, muzyki, ruchu, scenografii, kostiumu, pełnię świata osadzonego bardzo głęboko – tu i teraz. Kleczewska czerpie i z wiadomości w TVN 24, i z Eurypidesa. W jej teatrze człowiek ma niekończące się korzenie.

W kinie ciągle czekasz na swoją prawdziwą szansę.

Głównie pracuję w teatrze, to prawda. W filmie w tym roku zagrałam córkę Sikorskiego w „Generale” i szczupłą kobietę w „Zero” Pawła Borowskiego. Tęsknię za aktorstwem istotnym, które znam z filmów Bergmana, Bertolucciego, von Triera czy Isabel Coixet.

Jesteś jedną z niewielu młodych aktorek, które konsekwentnie budują swoją zawodową pozycję: z daleka od telenowel, bankietów, tabloidowego blichtru.

Spełniam się. A cały ten show-biznes – to nie dla mnie. Lubię spokój, ciszę. Stresują mnie flesze i kiedy widzę swoje zdjęcia w pismach, zadaję sobie pytanie: czy to naprawdę ja? Nie wyobrażam sobie utraty anonimowości. Chcę zostawiać siebie w rolach i żeby to one były ważne. Nie ja sama.

Aktorstwo to sprawa serio?

Dla mnie tak. To moja pasja – chcę uczciwie pracować. Ciągłe się uczyć, dojrzewać, ale daleko mi do momentu, w którym mogłabym świadomie powiedzieć ludziom: „Oto ja”.
Rozmawiał Łukasz Maciejewski